

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Czy wrócimy do jednolitego poglądu na świat?

Istotne przewroty w dziejach ludzkości nie odbywały się ani gwałtownie ani nie potrafią przykuć naszej uwagi swą wielkością. Decydujące bowiem zmiany, dzięki którym odnawiają się cywilizacja, zachodzą w ideach, pojęciach i wierzeniach.

Gustaw Le Bon: Psychologia tłumu.

I.

Niewielu współczesnych ludzi zdaje sobie sprawę z istotnych zmian i przeobrażeń, dokonujących się w otaczającym nas świecie a także w nas samych. Jeśli uwaga ogółu skierowana jest od pewnego czasu na sprawy związane z tzw. „kryzysem” i przebudową świata to przecież zwraca ten ogół swój wzrok przede wszystkim w stronę zmian w świecie ściśle materialnym. Wszystkich interesują więc nowe formy ustroju państwowego, eksperymenty gospodarcze i społeczne, wreszcie zjawiska dotyczące nowego rozkładu sił państw i narodów na kuli ziemskiej. Ale nieliczna tylko garstka ludzi orientuje się naprawdę w owych niezmiennie głębokich i trwałych przeobrażeniach w zakresie naszych pojęć umysłowych, religijnych i naukowych, jednym słowem, mało kto umie dostrzec, jakie koleje historyczne przechodzi to, co nazwano popularnie poglądem na świat jednostki ludzkiej. Trzeba być ścisłym i zaznaczyć, że myślimy w danym wypadku tylko o poglądzie na świat Europejczyków, względnie tych, którzy europejską kulturę przyjęli i zanieśli ją do innych części świata poza Europą.

Koleje europejskiego poglądu na świat są bardzo ciekawe. Czy był on kiedykolwiek jednolity tzn. czy większość ludzi w danej epoce miała pewne wspólne poglądy na najważniejsze zagadnienia „ludzkiego bytu”?

Otóż stwierdzić wypada, że były epoki w dziejach, kiedy podobny pogląd jednolity istniał, były też okresy dziejowe, pozbawione tej cechy. Wspólne pojęcia o świecie istniały w czasie największego rozkwitu „Imperium Romanum”, kiedy jednostajna kultura hellenistyczna - rzymska szeroko rozpowszechniła się w całym ówczesnym z wyjątkiem żółtego Dalekiego Wschodu i Indii cywilizowanym świecie, kiedy państwo rzymskie wydawało się dla jego mieszkańców jedynym schronieniem kultury poza obrebrami którego istnieli tylko dzicy i nieokrzesani „barbarzyńcy”. Rzym był rzeczywiście dla ludzi ówczesnych stolicą świata. Rządząca państwem rzymskim pewnego rodzaju elita, jak i tłumy rządzonych mieszkańców tego państwa, jednaki posiadały pogląd na świat. Ustrój społeczny, oparty na niewolnictwie, wydawał się ludziom starożytnym, bynajmniej niesprzeczny z naturą ludzką.

Temu pogładowi na świat cios śmiertelny zadało zwycięskie wnet chrześcijaństwo, które swą zasadą miłości bliźniego bezwarunkowej, niszczyło w zupełności cały ustrój społeczny starożytności. Twierdząc, że każdy człowiek jest dla człowieka bratem godnym miłości, uderzał Boski Założyciel chrześcijaństwa w niewolnictwo, a tem samem skazywał na zagładę starożytny jednolity pogląd na świat. Walkę poglądu na świat chrześcijańskiego ze starożytnym rozstrzy-

gnęło chrześcijaństwo na swą korzyść wcześniej, zanim zniknęło ze świata pod ciosami „barbarzyńców” jednolite państwo rzymskie, schronienie starożytnej, pogańskiej myśli.

W wiekach średnich panował jednolity chrześcijański pogląd na świat. Oczywiście, i ten pogląd przechodził pewne fazy rozwojowe, ale jednak zasadnicze jego rysy pozostawały niezmiennymi. Jednolitość chrześcijańskiego poglądu na świat w średniowieczu polegała przede wszystkim na tem, że istniał jeden, uznawany przez rządzących i rządzonych, a przynajmniej przez ich większość, przez „góre” i „dół” ówczesnego ustroju społecznego, cel absolutny, niezmienny tj. Bóg.

Wiara w Boga w średniowieczu należała właściwie do ówczesnego ustroju politycznego i społecznego, była fundamentem ówczesnego życia. Z tej wiary wypływała inna, polegająca na uznaniu społecznej i politycznej hierarchii, zasada, że źródłem władzy jest Bóg, co interpretowano w tych czasach (w naszym mniemaniu dzisiejszem fałszywie), że wszelka wogóle władza od Boga pochodzi. Z wiary w Boga wynikała dalej potęga Kościoła katolickiego w średniowieczu, dalej pogląd na przyrodę, otaczającą człowieka itp. Nie brakło i w średniowieczu walk ideowych, politycznych i religijnych; jednak system filozoficzny, oparty na religii chrześcijańskiej, a wykształcony przez dwa genialne umysły: św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu, potrafił utrzymać swą powszechnie obowiązującą moc.

Jednolity, chrześcijański pogląd na świat nie utrzymał się w Europie i świecie, jako panujący. Uderzyło w niego odrodzenie nauki i sztuki starożytnej, znane pod nazwą humanizmu, uderzyła weni mocno reformacja, rozsadzając od wewnątrz Kościół katolicki, jedynego stróża jednolitego poglądu na świat. Oba te prądy postawiły jako zasadę, czasem publicznie, czasem po cichu, że każdy człowiek może mieć swój własny, indywidualny pogląd na świat, a życie wspólne ludzkości nie może być podporządkowane jakiejś jednolitej idei, jakimś jednolitemu systemowi. Humanizm i reformacja, wydały w w. XVI bezwzględna walkę całemu średniowiecznemu porządkowi społecznemu, średniowiecznemu pogładowi na świat. Atakowano początkowo rzeczy drugorzędne: ustrój polityczny i społeczny średniowiecza, pewne cechy niewątpliwie ujemne średniowiecznego życia itd.

Dopiero w wieku XVIII, gdy reformacja oderwała znaczną część Europy od Kościoła katolickiego, a humanizm oddział już dostatecznie na umysły rozpoczęto atak generalny na istotne podstawy umysłowego poglądu na świat w średniowieczu. Racjonalizm zaatakował wiarę w istnienie Boga — zjawili się konsekwentni filozofowie — ateści, „osobiści nieprzyjaciele Pana Boga”; u schyłku zaś XVIII wieku, wielka rewolucja francuska zniszczyła zasadę, że władza pochodzi od Boga, stawiając w jej miejsce hasło „suwerenności ludów” (la souverainete des peuples).

Wiek XIX przyniósł ostateczne zwycięstwo ideom, głoszonym przez humanizm i reformację. Średniowieczne podstawy umysłowe poglądu na

świat straciły swą moc zarówno w masach, jak wśród rządzącej światem elity. Wiek XIX stał się epoką pozbawioną wogóle pewnej jednolitości w poglądach, epoką dążeń i idei najsprzeczniejszych. Był to złoty wiek skrajnego indywidualizmu w polityce, nauce, sztuce. Zapewne, nie brakło i wtedy ludzi podobnie myślących, jeśli idzie o najważniejsze sprawy ludzkiego bytu, ale dzięki oficjalnie panującej doktrynie o zupełnem, równoprawnieniu wszelkich poglądów, na świat, nie było mowy o jakiejś jednolitości w myśleniu. W dziedzinie myśli jedynie Kościół katolicki nieugięcie bronił swego jednolitego, konsekwentnego, niezmiennego poglądu na świat. Rozumie się, że indywidualizm skrajny panował tylko w myśli i w teorii, praktyka musiała być dostosowana do wymogów życia.

II.

Wiele oznak wskazuje na to, że karta dziejów ludzkiej myśli rzeczywiście się odwróciła. Słyszysz się dziś często takie zdanie np. „Jeśli ktoś jest katolikiem, to winien starać się tak postępować, jak każe religia katolicka. W przeciwnym razie katolikiem prawdziwym nie jest”. Zdanie to, dla nas, ludzi współczesnych, zupełnie jasne, zupełnie inaczej przedstawiało się dla człowieka XIX wieku. Ten mógłby przyjąć, że jest katolikiem, a pomimo to z różnych przyczyn nie starać się o dostosowanie swego postępowania do zasad religii katolickiej. Przytem uważałby nawet, że jest wszystko w porządku, ponieważ liberałny, skrajnie indywidualistyczny sposób myślenia nie rozumiał i nie doceniał jednego z najważniejszych postulatów dzisiejszej myśli: żądania konsekwencji. — Okazało się, że uświecenie skrajnego indywidualizmu w nauce i sztuce nie odpowiada dzisiejszemu czasom, kiedy od myśli ludzkiej, mającej organizować nowy świat na gruzach starego, zaczęto wymagać jednolitego konsekwentnego, zbiorowego wysiłku. Niezwykle moment dziejowy, w którym żyjemy, nieoczekiwanie zażądał od każdego człowieka uświadomienia sobie własnej roli w świecie. Dopóki stosunki są ustalone, dopóki człowiek wie, że świat w którym żyje, jest urządzony na wzór dobrze wyregulowanego zegarka, dopóty można zadowolnić się własnym, u jednego mądrzejszym, u innego głupszym poglądem na świat. Ale, gdy nadeszły czasy przełomu, gdy zarówno przed człowiekiem z „elity duchowej”, jak i przed niewykształconym prostaczkiem z tłumu, stanęło pytanie: dokąd świat zdąży a wraz ze światem i my wszyscy, gdy ze starego porządku zostały tylko strzępy, a o nowy toczą się zaciete walki ideowe, wtedy okazało się, że nie każdy potrafi rozstrzygnąć, samodzielnie kwestje narzucone mu przez współczesne stosunki.

Wtedy wielu ludzi zrozumiało, że myśl filozoficzna, naukowa i artystyczna wieku XIX zostawiła im pustkę, nie wytworzyła takiego systemu, któryby odpowiadał wymaganiom chwili. W takim momencie odczuli wszyscy, co znaczy brak jednolitego poglądu na świat. Przypomniło sobie, że pogląd taki, choć ustawicznie zwalczany i nawet ośmieszany, przechował się nie-

naruszony w religii katolickiej. Toteż ogromny zwrot ku katolicyzmowi czynemu jest najważniejszym objawem powrotu ludzkości do jednolitego poglądu na świat. Nie dość na tem. Rozpoczął się już, w świecie współczesnym ciekawy ruch: wśród „elity duchowej” gorączkowe poszukiwanie prawdy absolutnej, dążność do oparcia się na jednolitych podstawach myślowych, a równocześnie w masach obudziła się szczególnie silna tęsknota za wiarą, wiarą ślepą, bezkrytyczną w pewne idee, dotyczące zasadniczych zagadnień istnienia. Oczywiście masy idą za tymi, którzy im te idee umieją podać w najbardziej sugestywny sposób. Oba te równoczesne procesy myślowe dadzą się już wyraźnie zaobserwować i one to właśnie kładą pierwsze fundamenty pod budowę nowego, rodzącego się w naszych oczach, świata.

Nawrót do jednolitego poglądu na świat, ze szczególnem uwzględnieniem poglądu średniowiecznego, spostrzegł już także zwolennicy (bardzo dziś nieliczni) dawnego skrajnego indywidualizmu i, relatywizmu i mówią: „Jako, chcecie wrócić do średniowiecza z jego torturami, systemem feudalnym, inkwizycją, wiarą w czarownice itp.?” Czyż to możliwe dla ludzi XX wieku? Jak pogodzicie np. średniowieczny uniwersalizm z nowoczesnym nacjonalizmem? — Zarzut ten jest śmieszny, ponieważ trafia w próżnię. Historia jest „magistra vitae”, ale nigdy nie powtarza się w ten sam sposób. Przyszły jednolity pogląd na świat, ku któremu zdąża w chwili obecnej, jak się zdaje, myśl ludzka, potrafi napewno obejść się bez wiary w czarownice, pochwał tortur czy inkwizycji. Jeśli weźmie coś ze średniowiecza, to zapewne to, co było w niem najlepszym. Ludzie przecież powoli czegoś się uczą. W epoce nacjonalizmów, jaką jest niewątpliwie epoka współczesna, średniowieczna idea uniwersalizmu nie będzie mogła być chwilowo zrealizowana. Być może że jej zrealizowanie dokona się w dalszej przyszłości. Zresztą polemika z obrońcami skrajnego indywidualizmu nie jest potrzebna. Pokonuje ich na każdym kroku życie i wnet zwycięży ich ostatecznie. Zadaniem niniejszego artykułu jest zwrócenie uwagi w Polsce na zagadnienia, zbyt mało jeszcze doceniane przez szeroki czytający ogół.

Ludzie XIX wieku odziedziczyli po wieku XVIII wiarę w nieustanny postęp, kulturalny ludzkości. Zdawało im się, że świat przeszedł już burzliwy okres młodzieńczej, przebył szczęśliwie „wiek męski, wiek kęski”, a teraz w XIX wieku i następnych, może nasza cywilizacja doczeka się szczęśliwej spokojnej, bogatej starości. Wielu ówczesnych ludzi mogło tak sądzić. Tymczasem wojna światowa i powojenny przełom na tyłach polach ludzkiej działalności zburzyły doszczętnie wszystkie ich nadzieje. Starość ówczesnych poglądów na świat zakończy się, jak się zdaje szybko ich śmiercią, a jeśli triumfuje na świecie nowy, jednolity pogląd na świat, to będzie to dziełem tych młodzieńczych sił, tkwiących w naszej kulturze, które zawsze zdolne są, wbrew wszelkim przeszkodom, stworzyć dla ludzkości lepsze jutro.

Witold Nowosad

Zapomniany ojciec futuryzmu

(Guillaume Apollinaire w anegdocie)

Przywykliśmy do tego, że historie życia każdego wybitniejszego pisarza zaczynamy od dat biograficznych. O ile jednak idzie o Guillaume Apollinaire'a, — biograf znajduje się w nielada kłopotcie.

Nie znamy dokładnie ani daty ani miejsca jego urodzenia; wiadomo tylko ogólnikowo że urodził się podobno w sierpniu 1880 roku, — podobno w Rzymie. Tam przynajmniej, w Wiecznym Mieście, został ochrzczony.

Co więcej, zupełna tajemnica osłania też i jego pochodzenie. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Wilhelm Apollinary Kostrowicki, — ojciec miał być Polakiem, matka Włoszką. O ojcu nie wiemy nic absolutnie poza fantastycznymi legendami.

Matka wychowywała go początkowo w niesłychanym zbytku, dając mu staranne i gruntowne wykształcenie. Po ukończeniu collegium św. Karola w Monako, — młody, bo zaledwie 18-letni, chłopiec znajduje się nagle w Paryżu, niemal na bruku, pozbawiony wszelkich środków do życia. Jaki był powód tej nagłej zmiany sytuacji? — znowu niewyjaśniona tajemnica.

Młody poeta przyjmuje swoje „nom de guerre”: jako Guillaume Apollinaire zaczyna zamieszczać pierwsze swe utwory w licznych podówczas miesięcznikach literackich jak „la Plume”, „Mercure de France”, „Revue blanche”, „Phalange”.

Prawdziwym wypadkiem literackim było jednak dopiero pojawienie się nowego wydawnictwa „Soirées de Paris” przynoszącego pierwsze reprodukcje sztuki kubistycznej i pierwsze, zdecydowanie futurystyczne poezje Apollinaire'a, — owe poezje, które Andrzej Thérive nazwał później „poezją bez drutu”.

Od tej chwili sława Apollinaire'a poczęła rosnąć. Ale dziwna to była sława: u współczesnych miał on opinię mistyfikatora, lubiącego „brać na kawał” swych bliźnich. Apollinaire stworzył całą szkołę, — znalazł setki naśladowców we Francji, Włoszech, w innych krajach. Nie był jednak należycie doceniany za życia, — a może i nie był nigdy właściwie zrozumiany.

W skromnym swym mansardowym mieszkanku przy bulwarze St. Germain nr. 202 przyjmował Apollinaire grono swych przyjaciół, do których należał się Pablo Picasso, André Salmon, Max Jacob, Francis Carco.

Przyjmował ich w towarzystwie swego „sekretarza”, Jana Mollet'a. Ciekawa to była figura: pochodził podobno z jakiejś arystokratycznej rodziny angielskiej, a jako wynagrodzenie za swą pracę „sekretarza” otrzymywał wolny kąt na nocleg w mieszkaniu swego „szefa” i „obiad” składający się stale z jednej potrawy: z ryżu.

Miał jednak Mollet jedną wielką wadę: był kleptomaniem. Chodził stale do muzeum Louvre i wynosił stamtąd, co mu podpadło pod rękę. Nie uszło to uwagi dozorców, którzy wkrótce poczęli go śledzić i stwierdzili, że mieszka on u Apollinaire'a.

Kiedy skradziono słynna „Gioconda”, podejrzenie padło między innymi i na Apollinaire'a. Aresztowano go, poddano przymusowej fotografii i poniarom antropometrycznym. Przesie-

dział tydzień w więzieniu, skąd zwolniono go na skutek interwencji licznych jego przyjaciół.

Owocem tego przymusowego pobytu był piękny wiersz „A la prison de la Santé”.

Z chwilą wybuchu wojny światowej Apollinaire zgłosił się natychmiast do służby. Z artylerji przenosi się do piechoty, gdzie zdobywa galony porucznika. Wojnę traktuje niemal jako zabawę, pisze na jej temat szereg wierszy; delectuje się w wolnych chwilach lekturą „Mercure de France”. Ale bije się dzielnie, z prawdziwym zapalem.

Podczas takiej to właśnie lektury, w roku 1916, zostaje ranny w głowę odłamkiem granatu. Przewieziony do szpitala w Auteuil przechodzi trepanację czaszki, — poczem jako inwalida wraca do swego podniebnego mieszkania.

Jest pełen życia, chęci do pracy, otuchy. Píše jeszcze szereg poematów — z tego okresu czasu datują się fragmenty z jego „Vie Anecdote”, o-

głaszane latem 1918 roku, oraz „superrealistyczny” dramat „Les Mamelles de Tirésias”.

Umarł 11 lutego 1918, jak podają jego biografowie, na skutek owej rany odniesionej na polu bitwy. I tu jednak biografowie nie są zgodni ze sobą: w wydanej w roku 1928 Antologii poezji francuskiej (Edition Kra, Paris) podana jest data zgonu: 10 listopada, przyczyna śmierci: grypa.

Jeden z jego przyjaciół włoskich, Albert Savinio, opowiada, że pogrzeb Apollinaire'a odbył się równocześnie z pogrzebem Edmunda Rostanda.

Za trumną Apollinaire'a szła jego matka, którą przyjaciele starali się ile możliwości pocieszyć, sławiąc go jako wybitnego poe-

— Nazywacie mego syna poetą? — odparła z irytacją. — Powiedźcie raczej: próżniak, nierób! Rostand, — to był prawdziwy poeta!...

W pamiętnikach natomiast Gertrudy Stein znajdujemy natomiast wzmiankę, że kiedy Apollinaire leżał na łożu śmierci, — pod oknami jego mieszkania tłum ludzi, — na wiadomość o za-

wieszeniu broni, — ryczał: „A bas Guillaume!” (precz z Wilhelmem!)...

Apollinaire pozostawił bogaty dorobek literacki, wśród którego naczelną zajmują jego poematy „Alcools”, wydane w roku 1913, oraz „Calligrammes”, stanowiące epokę w twórczości poetyckiej ówczesnej Francji.

Pół Polak, pół Włoch, tworzący po francusku, jest Apollinaire jedną z najoryginalniejszych postaci w literaturze na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Niezwykły erudyta, obdarzony żywą imaginacją, szukał uścisławicznie nowych dróg w sztuce nie znosząc zastoju i bezczynności.

Niezrozumiany i niedoceniany za życia, dziś odzyskuje słuszenie należne mu miejsce na Parnasie, jako jeden z największych współczesnych poetów.

Jeden z wybitnych futurystów włoskich, Albert Savinio, tak go charakteryzuje:

„Powiedzmy sobie odrazu: Guillaume Apollinaire był jakimś przedpotopowym tworem, który zdołał uniknąć gniewu Stwórcy i jakimś cudem dostał się między nas. Wygnany w obcy świat, szukał rozpaczliwie odpowiedniego klimatu i pokarmu wpośród resztek raju przedpotopowego”.

(kr.)

Latinizacja stylu cerkiewnego na Łemkowszczyźnie

Cerkiewki drewniane Łemkowszczyzny tworzą styl odrębny, tem różniący się od innych lokalnych stylów ruskich, że wpływy bizantyjskie zredukowane są w nim do minimum.

Cerkiewki Łemków przypominają swym wyglądem kościołki łacińskie, od których różnią się tylko kształtem dachów. Składają się one (podobnie jak kościołki łac.) z trzech części stojących jedna za drugą: wieży, nawy głównej i prezbiterium.

Wieża cerkiewna z galerijką i barokową kopułką nie różni się niczem od analogicznych wież kościelnych. Nawa główna jest zawsze kwadratowa gdyż tego wymaga brogowa konstrukcja dachu. Część kapłańska (prezbiterium) oddzielona wewnątrz złożonym ikonostasem, albo jest również kwadratowa, albo stanowi połowę ośmioboku uniarowego.

Cechą charakterystyczną różniącą cerkiew od kościoła jest kilkakrotnie załamany dach brogowy ze zgrabną kopułą i wieżyczką, nigdy nie spotykany w kościołach łacińskich.

Prócz wyżej opisanych stylowych cerkiewek spotyka się jednak i inne, które dzięki zwykłym dwu spadkowym dachom jeszcze bardziej upodabniają się do kościołów. W czasie mych licznych wycieczek po Łemkowszczyźnie zapamiętałem takie cerkiewki w pow. sądeckim w Łosiu, Polanach, Binczarowej, Boguszy, Królowej Ruskiej, w Gorlickim: w Ropicy Ruskiej, w Przysłupie, Czynnej Radocynie, Dolinach, Przegoninie, Nowicy, w Jasielskim w Ożennej. Niektóre z nich są stosunkowo stare. Cerkiew w Przysłupie pochodzi z roku 1756 w Binczarowej z roku 1760, w Kamiennej z roku 1805 mogłyby więc one stanowić cenne dokumenty stwierdzające dawną rolę wpływów budownictwa łacińskiego na cerkiewne.

Przy bliższem jednak zbadaniu po-

kazuje się, że w każdej z wymienionej cerkwi znajdziemy jakieś dowody, wskazujące ponad wszelką wątpliwość, że dzisiejszy wygląd budynku jest wynikiem późniejszej przeróbki. Większość cerkwi pochodzi z początku XIX w. Po kilkudziesięciu latach uległy one zruszczeniu, tak że okres remontu wypadł mniej więcej z końcem XIX w. lub z początkiem XX.

Przy okazji remontu starano się niekiedy całą cerkiew powiększyć. Normalnie dzieje się to w ten sposób, że kasuje się korytarzyk, znajdujący się między wieżą a nawą, a jego miejsce zajmuje przedłużona nawa. Skutkiem tej przeróbki nawa z kwadratowej staje się prostokątna, dawny dach brogowy nie nadaje się już, więc zastępuje go nowym dwuspadkowym. „Sztukowanie” budynku wykonane jest czasem tak grubym ściąganiem, że poznaemy się na tem odrazu. W Polanach np. ściany dawnej nawy oszalowane są zewnątrz deskami podczas gdy część dorobiona pobita jest gontem. W innych wypadkach jednolita powierzchnia gontów zakrywa ślady przeróbek a wówczas tylko baczna obserwacja umożliwia nam ich odnalezienie.

Następstwem przeróbki są usterki, po których można odgadnąć pierwotny wygląd budynku. Okna, które dawniej wypadały na środku ściany obecnie skutkiem przebudowy rozmieszczone są niesymetrycznie, gdyż przesunęły się w stronę prezbiterium. Kopuła ze środka dachu również przesunęła się w tył, co dowodzi, że pod płaszczyzną dachu dwuspadkowego kryje się szkielet dawnego brogowego. W przeciwnym bowiem razie kopułę umieszczono by albo na środku nowego dachu, albo przy jego tylnym końcu.

W oryginalny sposób rozwiązano kwestję powiększenia cerkwi w Kamiennej (p. N. Sącz) odcięto tam część prezbiterium i dobudowano nowe mniejsze. W ten sposób powstał jedyny na

Łemkowszczyźnie budynek cerkiewny czteroczołowy, składający się z wieży, dwu naw (mniejszej i większej), oraz prezbiterium.

Jeszcze energiczniej postąpiły gminy w Binczarowej i Królowej Ruskiej pozostawiając z dawnych cerkwi tylko wieżę, a resztę budynku dobudowano na nowo.

Drugim sprzymierzeńcem latinizacji stylu jest modny od czasu wojny zwyczaj pokrywania dachów blachą. Niektóre pokryto tak, że zachowały swój tradycyjny kształt, — jest to jednak kosztowniejsze i trudniejsze ze względu na liczne załamania, — dlatego chętnie dawne dachy brogowe zastępuje się dwuspadkowymi.

W tych poprzerażanych cerkwiach pozostał tylko jeden szczegół odróżniający je od kościołków łacińskich, mianowicie kopuły na dachach. Można jednak przypuścić, że i te wnet znikną ze względów oszczędnościowych, a wtedy oryginalny i piękny styl łemkowski przejdzie całkowicie do przeszłości. Że obecnie nadszedł już kres tego stylu świadczą wymownie świeżo powstające na Łemkowszczyźnie tzw. „czasownie” (cerkwie prawosławne). Rzecz charakterystyczna, — z kilkudziesięciu czasowni zbudowanych w latach ubiegłych, ani jedna nie przypomina stylu łemkowskiego.

Roman Reinfuss

Przybyszewski o Żydach

W „Ruchu literackim” publikuje dr. St. Helsztyński kilka listów Przybyszewskiego do Kasprowicza. Listy te datują się z czasu, gdy Przybyszewski redagował w Krakowie „Życie”.

Otóż w jednym z nich znajduje się następujący ustęp:

„Semici tu na gwałt na mnie uderzają, ale Bóg da, że się im oprę. Co też za marny naród!”

Charakterystyczne to słowa, — zwłaszcza, gdy przypomniemy sobie, że później nie kto inny, jak właśnie owi „Semici”, z W. Feldmanem na czele, piali hymny pochwalne na cześć Przybyszewskiego i „Młodej Polski”...

Kościoły i legenda Wawelu

W historii Długosza czytamy, że pierwsze Kościoły ziemi Krakowskiej zbudowano na wzgórzu wawelskim w bardzo odległych czasach. Historyk ten pisze: „Kościół św. Jerzego, żołnierza i męczennika pełnego chwały, jak od najdawniejszych czasów przekazano naszej pamięci, założony został wspólnie z Kolegiatą św. Michała na Krakowskim zamku”.

Źródła historyczne nie podają nam, w którym czasie budowano te kościoły. Długosz twierdzi, że kościół św. Jerzego fundował Mieczysław I, a drugi kościół św. Michała budowano za panowania Bolesława Chrobrego. Wobec tego inne jego twierdzenie, że oba te kościoły założono „wspólnie”, czyli w jednym czasie nie znajduje uzasadnienia. Oba te Kościoły, jak utrzymuje Długosz, miały stać na miejscu dawnych świątyń pogańskich na najwyższym miejscu i w samym środku wzgórza wawelskiego i tem się tłumaczy, dlaczego katedrę i zamek Królewski zbudowano na skraju skały od strony północnej.

W każdym razie to zjawisko, że powyższe, pierwsze Kościoły i Kolegiata stały obok siebie na najgłówniejszym miejscu Wawelu i emulują niejako ze sobą na jednym wzgórzu, daje wiele do myślenia i wzbudza wiele zaciekawienia i wniosków.

Wiele prawdopodobieństwa kryje w sobie przypuszczenie, że jeden z tych kościołów a mianowicie Kolegiatę św. Michała zbudowano w tych czasach, gdy dwaj słowiańscy apostołowie św. Cyryl i Metody krzewili obrządek słowiański na polskich ziemiach i pojawili się u pierwszego Piasta, jak mówi legenda, w postaci aniołów. Dość poważnie przemawia za tem ten fakt, że kościół św. Jerzego był sownie uposażony i bogato urządzony, podczas gdy kościół św. Michała przedstawiał się mimo to, że był Kolegiatą, nadzwyczaj skromnie i nie posiadał żadnego uposażenia. Na tej podstawie wyłania się wniosek, że kościół św. Michała stanął pierwszy na gruzach pogańskiej świątyni pod wpływem i za inicjatywą obrządku słowiańskiego i był Kolegiatą pierwszych znanych nam biskupów obrządku słowiańskiego Prohoriusza i Prokufa, których wymienia katalog biskupów krakowskich i podaje Mon. Pol. hist. tom. II na stronie 816. Kościół ten, jako świątynia zamkowa, był silnie obwarowany, o czem wspomina Jan Kanaparcz na str. 174 w żywocie św. Wojciecha.

W kościele św. Michała odprawiano z początku nabożeństwa według słowiańskiego obrządku, czego dowodzi bulla papieża Jana XIII, w której rozkazuje, by w kościele św. Michała, który oddano za panowania Bolesława II jego siostrze Mładzie, Ksieni Benedyktynek, — nie odprawiano nabożeństwa według słowiańskiego obrządku.

Równocześnie zastanawia ten fakt, że kościół na Skałce zbudowano wówczas również pod wezwaniem św. Michała, co dowodziłoby, że w dawnych czasach istniały dwie odrębne osady na Wawelu i na Skałce i obie żywiły wielką część dla wspólnego patrona.

Sztuka religijna przedstawia obu patronów św. Michała i Jerzego jako młodzieńców, u których stóp wije się pokonany smok. Św. Michał jest patronem Słowian, rycerzem prawa i sprawiedliwości, wodzem, którego wizerunki widnieją na sztandarach bojowych i na chorągwiach kościelnych. W owych czasach Polacy utrzymywali bliskie stosunki ze wschodnią Słowiańszczyzną a

zwłaszcza z Kijowem, czego najlepszym dowodem jest to, że pierwsi Piastowie, Bolesław Chrobry i Śmiały tak często wyleżdżali na wschód i tak chętnie przebywali dłużej w Kijowie, w mieście, gdzie uznawano ich za przyjaciół i władców.

Możliwe, że za pierwszych Piastów łączyła Kraków z Kijowem wspólna część dla Apostołów słowiańskich św. Cyryla i Metodego, wspólny obrządek i jednake pochodzenie. To też nie wywołuje zdziwienia wspólny ich patron św. Michał.

Św. Jerzy jest więcej wyznawcą i męczennikiem, który ginie za wiarę pełen pokory i ofiary. Natomiast św. Michał Archanioł jest bohaterem, dzielnym rycerzem prawa, pogromcą piekła i bezprawia, jak też wszelkiej niesprawiedliwości, a zarazem obrońcą uciśnionych i wyrazicielem duszy spokojnych, łagodnych Słowian. Z czasem jednak począwszy od Konstantyna Wielkiego część dla św. Michała upada pod wpływem kościoła zachodniego, a natomiast zaczyna się szerzyć kult św. Jerzego. Konstanty W. stawia mu świątynię i nazywa cieśninę dardanejską od jego imienia Georgią. Kult ten szerzy się równocześnie na zachodzie, wszędzie powstają kościoły św. Jerzego, także w Pradze czeskiej i w Gnieźnie, a szerzy go św. Wojciech, który uważa św. Jerzego za swego patrona, modli się do niego w wigilię swej śmierci a nawet ginie w dniu jego święta.

Kult św. Jerzego szerzyli rycerze krzyżowi w XI w. i uczynili go patro-

nem rycerstwa. Z tą chwilą św. Jerzy jest już rycerzem, uzbrojonym mieczem, pokonuje smoka w postaci wroga św. wiary, czem upodabnia się do św. Michała Archanioła z tą różnicą, że św. Michał z pokonanym smokiem u swych stóp trzyma w ręku wagę, jako symbol sprawiedliwości, a św. Jerzy trzyma w ręku palmę męczeńską.

Ten stan rzeczy usprawiedliwia przy puszczeniu, że najpierw jeszcze w zamierzchłych czasach przed Mieczysławem I zapanował w Polsce Michał i pierwszy kościół pod jego wezwaniem założono jako kolegiatę na gruzach świątyni pogańskiej a w XI w. św. Wojciech rozszerzył kult św. Jerzego i wówczas tuż obok ubogiego kościółka św. Michała wybudowano wspanialszy św. Jerzego.

Historia św. Jerzego, patrona rycerstwa, niejako wodza i księcia, głoszona przez księży z ambony, opowiadana w izbach pańskich i czeladnych, wiadomości o walkach rycerzy Krzyżowych w Ziemi św., w których brali również udział Polacy, — mogły przyczynić się do powstania legend w Polsce, opowiadań o walkach księcia polskiego ze smokiem, o Krakusie, który ubił smoka w smoczej jamie na Wawelu.

Wiemy, że kościół zachodni zwalczał obrządek słowiański i św. Cyryl i Metody natrafiali w swej pracy na wielkie trudności. Gdy Kazimierz Odnowiciel przybył do Polski z żoną swoją Ryksą, której rodzice ufundowali w Brunwillare koło Kolonii, przybył z nimi do Krakowa

biskup Aaron, zakonnik benedyktyński i zaczął organizować w Polsce kościół zachodni. Od tego czasu kapituła Krakowska pieczętuje się trzema koronami, herbem Katedry Kolońskiej.

Benedyktyni zaczynają budować liczne kościoły na Wawelu i w okolicy. Obok kościoła św. Michała, powstaje kościół św. Jerzego. Królowa Ryksa buduje na Wawelu kościół Najświętszej Panny Marii, niezadługo stała katedra pod wezwaniem św. Salwatora, przemianowana później na Katedrę św. Wacława, a obok niej zbudowano piaty pościół św. Gerzona, patrona Kolonii. W XIII w. ozdabia Wawel kościół św. Marii Egipskiej i później kościół św. Adankta i Feliksa, który był prawdopodobnie kaplicą górnego zamku Królewskiego. Św. Adankt i Feliks byli również patronami Kolonii i w nich ujawnia się wpływ Benedyktynów w Polsce.

Kazimierz Wielki, rozszerzając zamek, burzy trzy kościoły N. P. Marii, św. Adankta i Feliksa i św. Marii Egipskiej i na ich miejsce stawia boczne zamkowe budynki. Natomiast w 1347 r. zachowuje kościoły św. Michała i Jerzego, przebudowuje je i na Wawelu powstaje kościół św. Michała wybudowany z cegły a św. Jerzego z kamienia. Ten drugi kościół urządzono wspaniale a duchowieństwo uposażyło go bogato. Oba te kościoły przetrwały do rozbiorów i do okupacji austriackiej. Gdy na Wawelu urządzono koszary, Austriacy zburzyli oba te kościoły, otrzymany materiał zużyli na zniwelowanie placu ćwiczeń wojskowych na Wawelu i dzisiaj na wzgórzu królewskim króluje jedynie Katedra. Ski.

Mikrurgja i jej zastosowanie

Zanim przystąpię do opisu mikromanipulatora, wyjaśnię pokrótce znaczenie oraz zastosowanie mikrurgji w biologii. Powstała w ostatnich latach nowa gałąź metod badań żywej komórki nosi nazwę mikrurgji.

Wiemy doskonale, jak wielkie usługi w badaniu organizmu zwierzęcego czy roślinnego, oddaje morfologia i fizjologia komórki. Do czasów nie tak jeszcze dawnych, badania cytologiczne ograniczały się jedynie do komórek zabitych oraz odpowiednio barwionych środkami chemicznymi, jakimi rozporządza technika mikroskopowa.

Oczywiście cały szereg faktów, jakie daje się zauważyć na komórce żywej, był niedostępny dla badacza, co w znacznej mierze hamowało rozwój nauk przyrodniczych. Poza to gotowy preparat mikroskopowy martwej komórki nie dawał i nie daje faktycznego obrazu o tyle, że jest barwiony. Badania komórki żywej następują cały szereg uciążliwych trudności, wynikających ze słabego zróżniczkowania optycznego większości składników protoplazmy, które mają przeważnie bardzo zbliżony współczynnik załamania światła.

Stąd też, chcąc wykazać pewne szczegóły w komórce — jej organizację, musi się preparat barwić. Ale gotowy preparat komórki nie daje nam możliwości poznania właściwości wewnętrznej warstwy protoplazmy komórkowej t. zw. błony plazmatycznej, jej zdolności osmotycznych, — przepuszczania nazewnatrzy i wewnątrz wody, minerałów, kwasów i zasad, oraz szeregu innych związków, stanowiących składniki środowiska komórki protoplazmy, czy wreszcie składniki potrzebne do przemiany materji.

Wreszcie na gotowym preparacie nie można wyodrębnić struktury błony plaz-

matycznej od reszty plazmy, nie można przeprowadzić eksperymentu z przepuszczalnością błony plazmatycznej, nie można przeprowadzić badań fizycznych właściwości protoplazmy, jądra komórkowego itd. — czyli nie można obserwować żadnych bjawów życiowych, zachodzących w komórce żywej.

Wszystkie te przeszkody usuwa mikrurgja. Poza to wynalezione metody utrzymania komórek przy życiu poza obrębem ich organizmu, a nawet hodowania komórek poza organizmem, w środowisku, którego skład i właściwości można dowolnie zmieniać, w ogromnej mierze rozszerzyły zakres badań cytologicznych.

Trudno byłoby w popularnym artykule wgłębiać się w szczegóły badań cytologicznych przy pomocy mikrurgji. Zakrawałoby to na pracę naukową, mogącą zainteresować jedynie przyrodników. Przedstawimy czytelnikom w ogólnych zarysach technikę mikrurgji, by wykazać, jak wielką i potężną jest nauka, oraz jakimi obecnie rozporządza środkami.

Badania, jakie przeprowadza się na żywej komórce przy pomocy mikrurgji, mają ogromne znaczenie nie tylko w nauce przyrodniczych, ale też i w medycynie, ponieważ wyjaśniając cały szereg zjawisk, stwarzają nowe poglądy i prostują stare, oraz dają możliwość poznawania konsystencji protoplazmy.

Dzięki działaniu przy pomocy mikromanipulatora na poszczególne części żywej komórki, nie tylko wyjaśniają jej organizację, ale też cechy jej budowy.

Poza to z punktu widzenia badań fizyko-chemicznych nad protoplazmą, jak stężenia w niej jonów wodorowych itp. zaobserwowane zjawiska, mogą oddać nieocenione usługi w medycynie a zwłaszcza w lecznictwie chemicznym. Prócz

tego, badania mikrurgiczne bakterji chorobotwórczych, przyczyniające się do doskonałego poznania tychże i pozwalając na racjonalną walkę z nimi. Głównym przyrządem, jakim posługuje się mikrurgja jest mikromanipulator, tj. aparat przymocowany do mikroskopu, zaopatrzony w igłę, pipetę i pincetę. Prototypem współczesnych mikromanipulatorów był aparat Chabry'ego, sporządzony w roku 1887 t. zw. rotator.

Rotator składał się ze szklanej kopilary, której światło było dopasowane do wielkości badanej komórki. W świetle tem nakłuwał Chabry daną komórkę igłą, poruszając za pomocą specjalnego urządzenia. Przy pomocy rotatora można wykonać na komórce tylko jeden zabieg nakłucia. Aparat ten uległ pewnej modyfikacji Kopscha. Ciekawszy był aparat Tschachotina. Mianowicie Tschachotin przymocował do obiektywu mikroskopu szklaną igłę w ten sposób, że koniec jej wypadł w środku pola widzenia. W ten sposób można było nie tylko nakłuć komórkę, ale posuwając ruchomy stolik mikroskopu, można było wykonywać na komórce cięcia. Niestety wskutek umieszczenia igły na obiektywie mikroskopu aparat ten miał jedynie zastosowanie przy małych powiększeniach.

Dopiero aparat Barbera po szeregu ulepszeń był w całym tego słowa znaczeniu pierwszym mikromanipulatorem, ponieważ pozwalał pod bardzo silnym powiększeniem na wykonywanie różnych zabiegów na komórce żywej.

Aparat Barbera składał się z trzech głównych części, a to: 1) tzw. komory wilgotnej, tj. szklanej skrzyneczki, otwartej z jednej strony, umocowanej i poruszanej na ruchomym stoliku mikroskopu, pokrytej szkiełkiem nakrywkowym, pod którym w kropli wiszącej znajduje się badana komórka. We wnętrzu

ścian komory wilgotnej znajdują się pa-
ski mokrej bibuły, z których parująca
woda, wysysając wnętrze komory, nie
pozwala na wyschnięcie kropli wiszącej.
2) pipety lub igły szklanej, oraz 3) wła-
ściwego mikromanipulatora, tj. urządze-
nia, które przy pomocy śrub posuwa igłę
czy pipetę we wszystkich kierunkach,
pozwalać dowolnie manipulować niemi
na komórce. Badana komórka znajduje
się pod spodem szkiełka nakrywkowego
a więc i narzędzia operacyjne wprowa-
dzone są od spodu; można więc uzyskać
wielkie powiększenia, ponieważ między
obiektywem mikroskopu jest tylko
szkiełko nakrywkowe.

W ostatnich czasach wynaleziono
nowe aparaty opierające się na zasadzie
mikromanipulatora Barbera, lecz znacz-
nie ulepszone i udoskonalone — Cham-
bersa, Péterfiego i Jansego oraz inne.
Mikromanipulatory Chambersa są o tyle
lepsze od aparatów Péterfiego i Jansego,
że można do nich użyć mikroskopu róż-
nego typu, podczas gdy do ostatnich na-
dają się jedynie mikroskopy Zeissa.

Mikromanipulator Chambersa, składa

się z metalowej płyty, na której umoco-
wujemy mikroskop. Przednia część pły-
ty zaopatrzona jest we właściwy przy-
rząd mikromanipulacyjny, opierający się
na dwu metalowych kolumnach, zawie-
rających igły, pipety itp. Cały przyrząd
jest tak urządzony, że pozwala opero-
wać dowolnie instrumentami, przy po-
mocy śrub. Na stoliku ruchomym jest
umocowana komora wilgotna typu Bar-
bera, do której wchodzi igła lub pipeta.
Dzięki zaopatrzeniu mikromanipulatora
w dwa przyrządy, można operować
dwoma igłami, co oczywiście znacznie
ułatwia pracę.

Aparaty typu Péterfiego i Jansego są
nieco odmienne w konstrukcji od aparatu
Chambersa i dają większą łatwość w
manipulowaniu. Pierwsze — są używa-
ne w Ameryce, drugie — w Europie.

Wielką rolę w mikromanipulatorach
odkrywa przygotowanie igieł, pipet i
pincet. Instrumenty te wyrabia się z pre-
ta szklanego grubości około 3 mm., któ-
ry ogrzewamy nad palnikiem Bunsena i
rozciągamy, przez co otrzymujemy nić
szklaną, grubości 0.66 mm. Nitkę tę po-

nownie nad płomieniem palnika rozcią-
gamy, aż do przerwania się jej w śro-
dku. W ten sposób otrzymujemy igły.
Wierzchołkowi igły nadajemy różne
kształty zależnie od potrzeby. W mikro-
dysekcji (tj. przy przecinaniu komórki)
używamy igieł zginanych pod kątem
większym niż 90°. Trzonek igły umiesz-
czamy w specjalnych łapkach aparatu.
Do mikroiniekcji używamy pipet, umoco-
wanych w metalowych rurkach, poła-
czonych ze strzykawką Rekorda lub
Prawatza. Pipety sporządza się w po-
dobny sposób, jak igły, z tą różnicą, że
zamiast preta szklanego używa się rurki
z twardego niealkalicznego szkła.

Tak w ogólnych zarysach przedsta-
wia się technika mikrurgiczna. Dodać
należy, że operowanie mikromanipulo-
rem wymaga wielkiej cierpliwości oraz
wprawy. Pozostałoby jeszcze omawiać
pewne doświadczenia z zakresu mikrurji,
ale z powodu zbyt obszernego materia-
łu, stanowiącego osobny temat, o nich
innym razem.

t. k.

— Ogromna większość odpowiedzi
tchnęła reakcją na zbiorowość życia
młodzieży. „Chciałbym powrócić się
samotnie“, „Chciałbym nie nie robić“,
„Chciałbym spokojnie siedzieć w do-
mu“ „Chciałbym samotnie skryć się w
jakimś zakątku“...

Pani (a raczej towarzyszka) E. Stro-
gowa, uznana powaga pedagogiczna
Rosji sowieckiej, widzi w takich odpo-
wiedziach objaw znużenia towarzyst-
wem. „Dni wolne spędza się zbiorowo
od rana do nocy... Dzieci zaczęły tę-
sknić za spokojem. Zaczęły prosić o li-
tość, Zapragnęły być same“.

Zestawiono w innej szkole najcha-
rakterystyczniejsze ustępy z dzienni-
ków pionierów (tj. sowieckich skau-
tów). Objawy zupełnie podobne. Po
opisach wspólnych zabaw, pracy, gier
(politycznych), kąpiel, wycieczek czy-
ta się, że najprzyjemniejszą godziną
życia obozowego jest godzina spoczyn-
ku, „bo wtedy możemy robić, co nam
się podoba, i rozmawiać, o czym nam
się podoba“. Jeden z chłopów pisze,
że najlepiej lubi dnie deszczu, „bo wte-
dy mamy troszeczkę wolności“.

Sprawdza tu się stare łacińskie przy-
słówie o naturze, która zawsze wraca,
choćby ją wypędzać widłami. Ale wi-
dać i coś więcej: Jeżeli naturę prze-
moca nagina się w jedną stronę, ona
tem silniej wyrzyna się w drugą. Nie-
raz też wśród tego działania sprzecz-
nych czynników nastąpi spaznienie.

Dziewczęta sowieckie reagują czę-
sto na prozę szczepionego sobie mate-
rializmu sentymentalnego marzyciel-
stwem. Zamiast uwielbiać ducha zbioro-
wej pracy i komunistyczne ideały u-
ważają za szczyt szczęścia kino i o-
pera, a gwiazdorom i śpiewakom sta-
wiają otarzyki lub noszą ich podobiz-
ny na sercach. Po pamiętnikach zaś
wypisują żądania w rodzaju następu-
jącego: „Kobieto, jeśli, kochasz, jesteś
niewolnicą, lecz gdy jesteś kochana,
jesteś królową“. Inna znów oświadcza,
że „miłość to zabawka dla idiotów“,
małżeństwo to jarmuz dla głupców“. Bodaj że w okresie romantyzmu pan-
ny z „burżujskiego świata“ i z klasy
„burżujskiej“ ozdabiały swe pamiętni-
ki zupełnie podobnymi bredniami.

Trzeba zrobić na zakończenie jesz-
cze jedną uwagę: Bolszewickie ankie-
ty i statystyka notują z pewnością na
użytek wewnętrzny objawy religijno-
ści, ducha nacjonalistycznego, niezado-
wolenia z komunistycznego świata, ale
do publicznej wiadomości, zwłaszcza
do wiadomości zagranicy pozwalają
przedstawić się jedynie objawom
względnie niewinnym ze swego punktu
widzenia. Ciekawa byłaby dopiero
statystyka robiona bez żadnych wzglę-
dów ubocznych. Ale tej my nie znamy
i nigdy nie będziemy znali.

WLADYSŁAW TARNAWSKI.

„Polska, kraj chłopów“

Zbliżenie polsko - niemieckie na
polu kulturalnym sprawia, że w Niem-
czech obudziło się żywsze zaintereso-
wanie naszym krajem i jego ludnością.

Wyrazem tego jest ostatni tygod-
niowy dodatek ilustrowany do popular-
nego dziennika „Berliner Tageblatt“. Znajdujemy tam artykuł „Bauernland
Polen“, utrzymany w tonie życzliwym,
a świadczący o znajomości tematu ze
strony autorki, Karoliny Fronier Fun-
der.

Opisuje ona tryb życia polskiego
chłopa, podkreślając jego pobożność
przywiązanie do ziemi, zamiłowanie
do tańca i pieśni.

Normalnem pożywieniem polskiego
wieśniaka, jak utrzymuje autorka, jest
mocna herbata (!) przeważnie bez cu-
kru, kartofle i kapusta. Kasza uważa-
na jest już za przysmak.

Naturam expellas furca...

Bolszewizm, faszyzm, hitlerizm ma-
ją programy biegunowo przeciwne, ale
metody zbliżone. W Rosji wcielono w
życie doprowadzony do ostatecznych
konsekwencji marksizm, we Włoszech,
jak świadczy nawet nazwa faszyzmu,
nawiązano do tradycji starożytnego
Rzymu, w Niemczech oparto się na
czynniku rasy. Wszędzie jednak taktyka
grupy rządzącej jest podobna. Zdaje ona
sobie sprawę z tego, że stanowi mniej-
szość w społeczeństwie (a stanowi ją
nawet w Niemczech, jeżeli będziemy li-
czyli tylko ideowców) i do tego dosto-
sowuje swe postępowanie z resztą tego
społeczeństwa, w którym z natury rze-
czy musi inaczej traktować stare i mło-
de pokolenie.

Starsze pokolenia przesiąkły dawne-
mi pojęciami i fakt ten nie da się zmie-
nić. Można rosyjskiego chłopca zmusić,
aby zamiast ikony zawiesił w chacie
portret Lenina, aby zamiast Wielkiej
Nocy obchodził święto pracy, nawet
aby wstąpił do kolchozu. Lecz nikt nie
zmusi go, aby w głębi duszy nie wie-
rzył w Boga, nie tęsknił do stosunków
z przed rewolucji i do cara batiuszki,
nie uważał otaczającej rzeczywistości
za coś tymczasowego. Tu kończy się
władza najenergiczniejszej nawet i naj-
mniej przebiegającej w środkach grupy
politycznej.

Co więc bolszewizm, faszyzm, hitle-
ryzm robią w kierunku propagandy, to
ma, o ile idzie o starsze pokolenie, cele
przeważnie zewnętrzne. Kto miał wsta-
pić w szeregi organizacji komunistycz-
nej, faszystowskiej, narodowo-socjali-
stycznej, ten już wstąpił. Nowych pro-
selitów nie oczekują, często uważaliby
ich nawet za element podejrzany. Wy-
starcza tedy rządowi, jeżeli ludzie, któ-
rzy byli dorośli za dawnych ustrojów,
poddają się zarządzeniom, dekorują do-
my w czasie uroczystości i wstrzymują
się od głośnej krytyki. Co mówią po
cichu, tego przy pewnej ostrożności z
ich strony nikt nie wie, nikt nie czyta
w myślach.

Tem bardziej zwraca się wzrok rzą-
dów ku młodemu pokoleniu. Z jednej
strony zależy od jego sposobu myślenia
trwałość ustrojów i systemów, z drugiej
tu coś naprawdę można osiągnąć. Umy-
sły dzieci stanowią przecież prawie zu-
pełnie czystą kartę, na której przy po-
mocy celowo i zreżymowane

systemu wychowania pisać można, co
dusza zapagnie. Takby się przynaj-
mniej zdawało.

Narzuca się jednak siłą rzeczy jeden
warunek: Trzeba unicestwić, a przynaj-
mniej sprowadzić do minimum wszelkie
inne wpływy poza wpływem szkoły. A
więc kontakt dziecka z rodziną musi być
ograniczony do tego stopnia, aby nie
mógł przeważać ani zneutralizować po-
karmu duchowego, podawanego przez
nauczycieli, podręczniki i przez całą do
tego stworzoną maszynę.

Najlepszym środkiem jest naturalnie
system pensjonatowy, niezawsze jednak
można go zastosować. Jest za drogi,
zresztą często mógłby wywołać silną
opozycję. Faszyści nie mogą rozrywać
zbyt widocznie rodziny, która w ich pro-
gramie społecznym gra wybitną rolę.
Nawet bolszewicy, którzy ją uznają tyl-
ko niechętnie i woleliby pozbyć się jej
zupełnie, zawahali się i wdali w kom-
promisy. Jednym słowem wzory staro-
żytniej Sparty są co najwyżej ogólna
wytyczna i ideałem, dającym się urze-
czywistnić jedynie w znacznej części.

W każdym razie trzyma się młodzież
jak najdłużej w szkole, ułatwiając jej
oddawanie się sportom i grom; urząda
się dla niej inne rozrywki zbiorowe; orga-
nizuje się wśród niej stowarzyszenia naj-
rozmaitszego rodzaju — od dość wyraź-
nie politycznych do naukowych i zabawo-
wych. Niech sobie ostatecznie chłopak
czy dziewczynka sypia w domu i jada
w domu, byle poza tem niedużo tam spę-
dzali czasu. Ale i ten węzeł przecinają
bynajmniej na pewien przeciąg czasu,
wycieczki zbiorowe.

Wychowanie niemieckie było hitle-
rowskie przed Hitlerem. Na międzynaro-
dowym kongresie nauczycieli szkół
średnich w Londynie, w lipcu r. 1932
szczylił się jeden z przedstawicieli Nie-
miec działalnością, tj. **Jugendvereine**.
Urządza one wycieczki krajoznawcze,
które trwają całymi miesiącami i dzięki
temu zbiorowisko uczniów wraz z nau-
czycielem przemienia się w nową ro-
dzinę. Gdym słuchał tych z dumą i
radością wygłaszanych opowiadań, na-
suwało mi się pytanie: A co równocze-
śnie dzieje się z prawdziwą rodziną?

We Włoszech spełnia podobną rolę
Balila. Lecz najdogodniej obserwować
proces na terenie bolszewickim, gdzie i
przepaść między pojęciami starszego
pokolenia a grupy rządzącej jest naj-

głębsza, i rządy tej grupy trwają najdłu-
żej, i dążności do zburzenia wszystkiego,
co stare, a wzniesienia na ruinach nowe-
go gmachu, niekierują żadne prawie
skrupuły.

Niedość więc, że sama nauka saczy
w dusze dzieci rosyjskich materialistycz-
ny pogląd na świat, pogardę dla „religij-
nych zabobonów“, kult świętego Marxa
i świętego Lenina, bałwowalczą cześć
dla maszyny, niezachwianą wiarę we
wszechmocność nauk ścisłych, niedość,
że szerzy psychikę ula pszczelego, w
którym nikt nie pracuje dla siebie i
wszyscy bezwzględnie podporządkowa-
ją się celom i potrzebom ogółu. Szkoła
wypełnia i tę resztę dnia, którą pozost-
awia wolną jej przedmioty. Zabawa
jest wspólna, przygotowanie do lekcji
grupowe, grupami wybierają się dzieci
na roboty polne, nawet wieczorami nau-
czyciele prowadzą je do teatru lub kina.
Na każdym zaś kroku propaganda, na
każdym kroku materialistyczny obrok
duchowy, na każdym kroku rozwijanie
ducha kooperacji.

Jakiż skutek tego systemu? Czy jest
sposób stwierdzenia, co się dzieje w du-
szach dziecięcych w odległości tysięcy
kilometrów od nas?

Niewątpliwie jest, a nie popadniemy
z pewnością w jednostronność i nie bę-
dziemy suggestjonowali się na rzecz na-
szych własnych pojęć, jeżeli wezwiemy
tu na pomoc najwyższe bóstwo świata
komunistycznego — Statystykę.

Ponieważ w Sowietach jednostka
zawsze równa się jednostce, a cyfra po-
słada wartość absolutną, nigdzie nie
urządza się tylu ankiet, nie prowadzi
tylu wykazów, nie robi tylu zestawień
nie wierzy tak silnie w osiągnięte ta-
mą wyniki. Nielewkie codziennie
zdaje się po szkołach kwestionariu-
ze, na które młodzież odpowiada bez-
miennie, a więc szczerze. Wyciąga
się też wnioski z dzienniczków, pro-
wadzonych przez uczniów i uczennice.
Materiał, uzyskany tymi sposobami,
idzie do opracowania ludziami, za-
wodowo zajmującym się pedagogiką.
Wnioski, do jakich ci dochodzą, są
często poza Rosją dostępne w gazetach
lub w poświęconych wychowaniu i sta-
nowi szkół broszurach.

Jedna z największych szkół mos-
kiewskich urządziła wobec zbliżają-
cych się ferij ankietę na temat: Jak-
bym pragnął spędzić czas wakacyjny?

Za dawnych dobrych czasów...

Z powodu 80-tej rocznicy bitwy pod Bałakławą (25 października 1854) pojawiły się w gazetach angielskich tego boju, wstawionej trzema brawurowymi szarżami kawalerji — na przód angielskiej Ciężkiej Brygady później angielskiej Lekkiej Brygady i francuskiego pułku Strzelców Afrykańskich. Była to bowiem prawie wyłącznie bitwa kawalerji. Ze strony Anglików uczestniczył tylko jeden pułk piechoty.

Człowiek, który brał udział w wojnie światowej i pamięta jej pozornie puste pole bitwy, regulowanie ognia według dyrektywy, przychodzącej z punktów obserwacyjnych, ostrzeliwanie nieprzyjaciela na ogromne odległości, wreszcie podrzędną rolę kawalerji — taki człowiek przeciera oczy jakby czytał najfantastyczniejszą bajkę. Czy podobne rzeczy naprawdę działy się — i to jeszcze osiemdziesiąt lat temu?

Szarżę Lekkiej Brygady wstawił wiersz Tennysona, którego chłopcy angielscy uczą się na pamięć w szkołach — zresztą popularność zawdzięcza raczej tendencji i propagandzie, niż walorom poetyckim. O wiele ważniejsza w przebiegu walki i zapewne bardziej bohaterska była szarża Ciężkiej Brygady.

Wojska francusko - angielskie, operujące przeciw Sebastopolowi, zajmowały trójkątną wyżynę. U stóp jej rozłożyła się kawalerja której zadaniem była ochrona małego portu i zatoki bałakławskiej. W razie odcięcia połączenia z flotą sprzymierzonych czekałaby ich prawdopodobnie zagłada.

O świcie 25 października armja rosyjska, przybyła na odsiecz Sebastopolowi, wzięła bez większego trudu parę redut tureckich poczem wysłała potężny zastęp kawalerji, około 3 tysiące koni w kierunku portu. Oddziały poprzedzające główną siłę, rozpięchły się pod ogniem 9-go pułku piechoty angielskiej, wyglądającego zdaleka jak „cienki czerwony pasek, błyskający zwierchu stala” (nie znano wówczas połowych mundurów). Wówczas masy jazdy rosyjskiej zaczęły posuwać się ku wyżynie.

Na skraju wyżyny stał naczelny wódz angielski lord Raglan, ze swym sztabem, i widział ruch nieprzyjaciela. Nie widziały go natomiast oddziały, umieszczone na dole, gdyż drobne stosunkowo nierówności terenu stanowiły dostateczną osłonę. Ale i Moskale nie wdziali przeciwnika. Służba wywiadowcza była z obu stron fatalna. Zgórą cztery tysiące kawalerji poruszało się na przestrzeni toru wyścigowego, przyczem obie strony nie wiedziały wzajemnie o swoim istnieniu.

Generał Scarlett otrzymał nagle od lorda Raglana przez adjutanta rozkaz aby z ośmiu szwadronami Ciężkiej Brygady pośpieszył na pomoc Bałakławie. Skierował się tedy ku portowi, nie zdając sobie sprawy że maszeruje równolegle do frontu, potężnego zastępu rosyjskiej kawalerji, nie odległego nawet o cały kilometr.

Przypadkowo adjutant Scarletta Elliot spojrział w lewo — i zobaczył długą szereg kozackich, wychylających się zpoza lekkiego wzniesienia terenu. Zwrócił uwagę generałowi — i w tej chwili widnokrąg zaciemnił się od zbitego tłumu jeźdźców rosyjskich. Scarlett postanowił natychmiast uderzyć na nieprzyjaciela. Zdawał sobie sprawę

z jego przewagi liczebnej, ale uważał, że czekać natarcia i wyrzucić się impetu ciężkiej kawalerji to pewna zagłada. Miał pod ręką tylko trzy szwadrony i kazał im formować się do szarży. Postacie jeźdźców rosyjskich, zjeżdżających klusem ku Anglikom, rosły szybko w ich oczach, odległość zmniejszała się z każdą chwilą. Mimo to podoficerowie prostowali szeregi, jak na mustrze, a oficerowie, obróciwszy tyłem do nieprzyjaciela, nadzorowali tę czynność. Jeszcze chwila, a garstka tych fanatyków koszarowego drylu zniknie pod nawołem dziesięciokrotnie silniejszych, cwałem uderzających Moskali.

Ale głowy nie było i po przeciwnej stronie. Trąbka — i klus zamiast w cwał szarży, przechodzi w stęp. Druga trąbka — i Rosjanie stają w miejscu. Tymczasem trzy, angielskie szwadrony stanęły już w ordynku. Scarlett daje znak trębaczowi. Rozlega się pobudka do szarży. Przodem pędzi sam generał z adjutantem, dalej jego ordynans z trębaczem, dopiero za nimi szeregi rozciągnięta linja jeźdźców. Przewalowali w mig czterysta metrów, dzielących ich jeszcze od nieprzyjaciela. Moskale oczekiwali bez ruchu. Bezwładna masa poślknęła trzy szwadrony. Słychać tylko przekleństwa rosyjskie, angielskie, szkockie, irlandzkie, zgrzyt szabl o szablę i jęki ranionych czy konających.

Dalsze trzy szwadrony Ciężkiej Brygady, nie otrzymawszy żadnego rozkazu. Ale gdy zbliżyły się do pola walki, spostrzegły co się dzieje. Zamiast komendy, ozwały się krzyki żołnierzy: „Na Boga! Szary szwadron odcięty! W cwał! W cwał!” I nowych trzystu ludzi rzuca się ku nieprzyjacielowi, już nie w starannie uporządkowanym szyku, ale bezładną masą. Dopiero po drodze żołnierze i konie napół instynktownie formują się do ataku a oficerowie wybierają punkty uderzenia takie, aby jak najłatwiej przerznąć się do otoczonych. Jeden ze szwadronów cwałuje wzdłuż frontu nieprzyjacielskiego i szarżuje z boku.

I bezwładna masa ulega rozszalałej garstce. Zaczyna chwiać się, łamać, wreszcie rzucić się do ucieczki. Ciężka Brygada łączy się i jej przerzedzone szeregi również cofają się ku swoim.

Wielki czyn wojenny był tedy dziełem odwagi, nie rozważli. Generałowie, którzy za niego otrzymali odznaczenia, zasługiwali na degradację. Zupełnie podobne miała się rzecz z późniejszą szarżą Lekkiej Brygady. Nawet Tennyson mówi o tem, że nie było wśród niej jednego człowieka, który-

by odczuwał trwogę, choć wszyscy wiedzieli, że „ktoś popełnił błąd”. Komendant nie zrozumiał rozkazu i poprowadził Brygadę do ataku na całą armię...

Bohaterscy jeźdźcy pod straszliwym ogniem dotarli do baterji rosyjskich zdobyli je, na chwilę, aby pod tym samym ogniem odbyć cwałem drogę powrotną. Ruszyli w liczbie sześciuset, ale było ich znacznie mniej, gdy wrócili...

Cała wojna krymska stanowiła, o ile idzie o dowództwo i intendenturę angielską jeden szereg objawów niedołęstwa. Oto parę faktów, wziętych ze szkolnego zarysu historycznego:

Zapasy żywności wysyłano tam, gdzie nie było możliwe ich wyładowanie na ląd; przysłano transport butów — wszystkich z lewej nogi wybuchły chłoby, a żołnierze nie mieli nawet koców do leżenia; dostawcy napelniali worki nawozem zamiast siana i owsa...

Mimo to wojnę wygrano. I nie było to zasługą Francuzów, którzy również mieli lichą komendę — opór gen. St. Arnaud uniemożliwił zajęcie Sebastopola, zanim go ufortyfikowano, a później trzeba go było przez rok oblegać. Zwyciężył żołnierz zachodni dzięki swej odwadze, poświęceniu, wytrwałości i inteligencji. Z jednostek okryła się sławą jedynie Miss Florence Nightingale, organizatorka Czerwonego Krzyża.

A. E.

Na ruinach zamku w Kudryńcach - nowe zakwitła życie

Wśród barbarzyńskich najazdów, wiążących się nieprzerwanym łańcuchem przez ziemie kresowe, powstawały i zapadały w ruinę na pograniczu dwu światów: europejskiej kultury i wschodniego barbarzyństwa obronne strażnice, zamki i zameczki podolskie, owe słynne fortalitia, często tylko wałem i często kołem opasane. Powstawały tam, gdzie sztuka podawała dłoń przyrodzie, aby z drewnianego czy kamiennego zameczku uczynić skalną rafę, o której brzeg rozbijałyby się wzburzone fale wschodniego najazdu.

Wiele z tych strażnic kresowych zapadało w zgliszcza, po każdej wojennej burzy nowe dźwigały się zbrojne a czujne reduty u granicznych kopców czy też w oddali od nich. Niejeden zamek podolski przetrwał wojenne burze a potem w czasach pokoju wśród zmienionych do gruntu stosunków politycznych ulegał niszczeniu i zwolna rozpadał się w gruzy. Jak ongiś w Rzymie o niszczeniu starych pomników mówiono: „quod non fecerunt barbari, fecerunt Barbarini” — tak i tu rolę owych niszczycieli obok rządu austriackiego, który chętnym okiem spoglądał na ruiny tych zabytków, owych zapadających w nicłość świadków świetności i niepodległości Rzeczypospolitej, spełniali niektórzy właściciele, obojętni wobec wymowy ruin, a także i czas, który zębem swym z roku na rok dotkliwie dawał się we znaki.

RUINY ZAMKOWE W KUDRYŃCACH.

W powiecie borszczowskim, w oddaleniu 8 km. od Mielnicy w kierunku wschodnim a 10 km. od Iwana, leży dawniejsze miasteczko, dzisiaj wieś Kudryńce. Na północny - wschód od Kudryńiec widnieją ruiny niewielkiego zamku, położonego na wąskim cyplu wyniosłego grzbietu wzgórzy między Zbruczem a głębokim jarem, którym przepływa mały potoczek, uchodzący do tej rzeki granicznej. Znakomity znawca zabytków ziem kresowych, Dyr. Dr. Aleksander Czołowski w kilku publikacjach dał nam szczegółowy opis ruin kudryńckiego zamku.

Na skalistym urwisku nad Zbruczem położony zamek, zbudowany z kamienia i cegły, ma kształt nieregularnego

czworoboku, wydłużającego się i zwyżającego się ku cyplowi. Największa długość zamku po stronie wewnętrznej wynosi 70 m., szerokość 20 m., grubość murów półtora m. Obwodowe ściany zamku dość dobrze zachowane, wyjątek stanowi ściana od strony rzeki. Położenie zamku w Kudryńcach pod pewnym względem przypomina zamek w Trembowli, oba bowiem z natury warowne, dostępne były jedynie od strony płaszczyny, na której były wzniesione. Z tego powodu na tym najsłabszym odcinku zamkowym, gdzie natura nie sprzyja obronie, sztuka musiała użyć jej pomocy, aby zapewnić zamkowi do ostatnich granic możliwości skuteczną obronę. Dlatego też ów najsłabszy odcinek zamku kudryńskiego był od strony przytykającej płaszczyzny ubezpieczony głębokim przekopem i dwiema narożnymi basztami. — jedną większą, kwadratową od strony Zbrucza, — drugą mniejszą, ośmioboczną, nad jarem.

Do zamku wiodła brama, po której obu stronach wybite były w murze duże otwory na działa. Wnętrze zamku niszczone, zasypane wysoko gruzem. Po prawej stronie pozostały ślady budowl dla odźwiernego i służby. Zabudowania mieszkalne wznosiły się przy północnej ścianie obwodowej od strony rzeki i prawdopodobnie tworzyły sześć ubikacji. Przy baszcie ośmiobocznej istniała studnia. O ile te dwie baszty zachowały się wcale dobrze, trzecia pięciokątna, wznosząca się od strony cypla nad jarem runęła w gruzy pod koniec minionego wieku.

DZIEJE ZAMKU MAŁO ZNANE.

Mrok pokrywa dzieje zamku w Kudryńcach a rozjaśnić można go chyba z aktów dawnego województwa podolskiego, znajdującego się w Kijowie. Mikołaj Herbut, trzeci syn Mikołaja, podkomorzego przemyskiego, otrzymał w r. 1518 od króla Zygmunta I. przywilej dwu rocznych jarmarków w dziedzicznym mieście Kudryńce (?). Herbutowie byli tedy założycielami zamku, który prawdopodobnie powstał na początku XVII. w. Od Herbutów przeszedł Kudryńce do Lanckorońskich. Pod koniec tego wieku katastrofa stała się udziałem zamku, został on bowiem zdobyty

przez Turków w r. 1672 i w walkach o Kamieniec Podolski nie miała odgrywać rolę. W XVIII. w. za Humieckich stanowił wielkopańską rezydencję, a jeden z ich następców, Justyn Trzywdar Modzelewski włączony był w proces karany płk. Józefa Zaliwskiego. Zamek przetrwał prawie w całości do połowy ubiegłego wieku a stawszy się własnością rodziny Bartfeldów szybko zbliżał się do swej ruiny. Dostojne mury zamkowe rozbierano na materiał budowlany... „quod non fecerunt barbari, fecerunt...”

ZAMEK Z RUIN DŹWIGA WOJSKO POLSKIE.

Nowa era w dziejach Kudryńiec nastąpiła z chwilą, gdy w nich załoga stanęły oddziały K. O. P. Dawne miasteczko, dzisiaj prawie wieś, dzięki troskliwej opiece K. O. P. przybrało inny wygląd. Zawiazało się serdeczne współzycie pomiędzy miejscową ludnością a oddziałami granicznymi naszych wojsk, które na miejscowym terenie powołały do życia cały szereg instytucji kulturalnych i gospodarczych. Ze szczególnym uznaniem należy podkreślić wielce owocną a ofiarną pracę kpt. Stecewicza, który między innymi podjął śmiało a skutecznie myśl uratowania baszty zamkowej przed jej ostateczną ruiną. W pierwszym rzędzie na skutek jego zabiegów właściciel Kudryńiec Bartfeld ofiarował zbocze zamkowe wraz z ruinami zamkowymi Tarnopolskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu. Dźwigający z ruin basztę zamkową kpt. Stecewicz pragnie jej pierwsze piętro przeznaczyć na schronisko dla turystów, zwiedzających tę przepiękną połąkę kraju, a drugie piętro na małe muzeum, w którym można by zebrać zabytki, liczne jeszcze na tej bogatej ongiś kresowej ziemi, co spichlerzem Rzeczypospolitej była nazywana. W ten sposób dzięki nieustrudzonej działalności kpt. Stecewicza baszta zamku kudryńskiego zostanie ochroniona przed swą zagładą.

Niszczą ją i padają w gruzy zwaliska i innych zamków kresowych. Pisaliśmy niedawno o coraz gorszym z roku na rok stanie ruin zamku w Zbarażu. Obwieszczenia coraz bardziej ruiny tak drogiemu społeczeństwu zamku mogły znaleźć kpt. Stecewicza!...

Aleksander Medyński.

Oblicze wielkich ludzi w grze hazardowej

„Rajski zakątek wydzierżawiony przez diabła“, tak trafnie ktoś nazwał Monte — Carlo. W stylowych salonach jego casyna niejednego majątek został roztrwoniony, rozegrało się też немало dramatów. Obecnie sława tej światowej jaskini gry zaczęła blednąć, gdyż ogólny kryzys wymierzył jej potężny cios, walutowe zaś ograniczenie i zapory celne przyczyniły się również do zmierzchu tej współczesnej świątyni złotego cielca, w której składano ofiary ze złota, honoru i nieraz życia. O Monte—Carlo zaczyna się mówić i pisać jak o czemś minionem, jakimś zabytku przeszłości, w rodzaju menuetów, krynolin itd.

Niedawno pojawiły się pamiętniki tego krupiera Monte Carlo, niejakiego Emila Oberwaldera, pochodzącego ze Szwajcarii, który w swym fachu zatrudniony był przez 20 lat. Przez ten czas autor przy stole ruletki spotkał nie mało osób o wielkich imionach i głośnych tytułach, mieszkańców finansowego i przemysłowo-handlowego Olimpu, oraz wybrańców losu, cieszących się niezwykłym powodzeniem. Jak twierdzi autor, niema w świecie ani jednej słynnej osoby, która nie zwiedziłaby Monte Carlo. W „złotej książce“ kasyna można spotkać nazwiska prawie wszystkich mniej więcej znanych osób naszej doby.

Oberwalder wspomina, jak grupa francuskich reporterów w 1919 r., zaraz po Versalskiej Konferencji pokojowej, łapała w Monte Carlo Clemenceau. „Tygrys“ godzinami przesiadywał w tradycyjnych czarnych rekawiczkach, (których nawiasem mówiąc nie zdejmował podczas przewodniczenia na światowej konferencji), śledząc uważnie przebieg gry, i od czasu do czasu stawał 20-frankowy żeton. Minister zupełnie nie zwracał uwagi na kręcących się około niego panów, którzy wszelkimi sposobami starali się wciągnąć go do rozmowy. Byli to dziennikarze, specjalnie towarzyszący mu z Paryża. Po wygraniu paru set franków, „ojciec zwycięstwa“ wstał, kierując się do wyjścia. Goście francuscy zwartą ławą rzucili się za nim.

— Panie Prezydencie... — błagalnie zwrócił się do niego jeden z korespondentów. Clemenceau obrócił się, przez minutę mierzył spojrzeniem swych przesładowców i ze złością rzucił: — „Pichez moi la paix!“ — co w tłumaczeniu ordynarnie brzmi: — Do wszystkich diabłów! — To był jedyny rezultat nieudanego wywiadu dziennikarskiego. Natomiast bardzo chętnie rozmawiał tam Briand, będący częstym gościem kasyna, gdzie prowadził dość grubą grę.

Niezwykle uprzejmy też był i Stresemann, chętnie udzielając wywiady dziennikarzom, zwłaszcza francuskim, przy czem porozumiewał się niemożliwą francuszczyzną. Grał mało i bardzo ostrożnie: po długich wahaniach rzucał 5 fr. na poszczególny numer, który następnie kilkakrotnie zmieniał.

— U nas w Niemczech z pieniędzmi krucho, nie możemy szafować groszem! — nawpół żartem mówił kanclerz niemiecki. Za to zupełnie nie liczył się z groszem angielski minister spraw woj-skowych Churchill, człowiek wielkiego temperamentu. Wcale nie namyślając się, rzucał żetony po 100 i nawet po 500 fr., często i dużo przegrywając. Po każdym niefortunnym rzucie złościł się, głośno kląć ruletkę, przysięgał, że noga jego więcej tu nie stanie. Jednak następnego dnia zjawił się jako jeden z pierwszych, bezpośrednio po otwarciu kasyna.

Grubą też grę prowadził zapomnia-

ny obecnie komik filmowy Maks Linder, który kilka lat temu zakończył życie samobójstwem. Namietny gracz, słynny artysta, przez jeden wieczór przegrał 80.000 fr., otrzymane od wytwórni filmowej Br. Pathé za udział w jakimś obrazie. Nazajutrz telegrafował do zarządu tej firmy, prosząc o przesłanie 5.000 fr. Po otrzymaniu przekazu, znów zasiadł do gry i znów spłókał się do reszty, wyjechawszy do domu za pożyczone od dyrektora swego hotelu pieniądze.

Zjawienie się w 1926 r. w kasynie znanego „króla zapalczanego“ Iwara Kreugera wywołało ogromną sensację. Za nim kroczyła cała świta przyjaciół i pochlebców, jak drobne krwiożercze zwierzątka za potężnym drapieżnikiem. Lokaje usłużnie przysuwali mu krzesło do stołu ruletki, lecz Szwed, stojąc, rzucał kolejno kilka banknotów tysiącfrankowych, nie facygując się nawet do wymiany tychże na żetony, a po przegraniu przeszedł do sali gry w baccarata. Tu w niespełną godzinę przegrał około 100 tysięcy fr., ze znużoną miną przeciągnął się, ziewnął i, rzuciwszy napitek krupierowi, poszedł spać. Opowiadano następnie, że Kreuger pozostawił w Kasynie przeszło pół miliona fr.

Nie mało też pieniędzy kosztowało Monte Carlo osławionego bohatera doby obecnej A. Stawiskiego, który grał z podkreślanem niedbalstwem i pozorną zimną krwią, przepuszczając setki tysięcy fr. Zazwyczaj zachowywał się pochamsku, z kapeluszem na bakier, kop-

cąc ogromne cygare i rzucając popiół wprost na dywan.

Rzucającą się w oczy była też figura znakomitego amerykańskiego mecenasa Gordon-Benneta. Długi, szczupły, jak słup telegraficzny, milioner ten miał opinię niezwykle namietnego gracza. Zimą 1900 r. przegrał prawie pół miliona fr., lecz następnego roku zadziwił wszystkich swoim niebywałem skąpstwem. Stawiając drobne sumy, bardzo się przejmował każdą przegraną; nawet doszło do tego, że nieraz sprzeczał się z krupierem z powodu 10 fr. stawki. Tymczasem w życiu Gordon-Bennet wcale nie odznaczał się skąpstwem. Nie mówiąc już o wydatkach na cele społeczne i sportowe, amerykańsin ten płacił kucharzowi na swym yachcie 15.000 dolarów pensji rocznej, orkiestra zaś na tym statku kosztowała go około 100 tysięcy dol. rocznie, a na bankiet, urządzony w 1911 r. na cześć prasy paryskiej, wydał 140.000 fr.

Częstym gościem w Monte — Carlo był też książę Walji, przyszły król Edward VII, który rzadko grał w ruletkę, lecz mógł całymi godzinami siedzieć przy stole za „Trente-et-quarante“.

Administracja kasyna starała się o dobranie odpowiednich dla niego partnerów, — osób, zajmujących poważne stanowiska w społeczeństwie: ambasadorów, ministrów, finansowych lub przemysłowych magnatów. Jednak książę nie przywiązywał do tego większej wagi, grając nieraz w nieodpowiednim towarzystwie, z a-

wanturnikami i poszukiwaczami przygód, których nie brak w światowych domach gry. Przyszły władca Anglii był bardzo dobrym klientem kasyna, gdyż, jak twierdzi autor pamiętników, przegrał ogółem nie mniej niż 3 miliony franków w złocie!

Z pośród graczy hazardowych wyróżniał się właściciel ogromnych latyfundi na Węgrzech, Tabor Galli, który zwykle przychodził do kasyna ze swym przyjacielem. Kiedy Galli siadał do gry, ów przyjaciel stawał na stół swój przewrócony cylinder, dokąd zbierał wygrane żetony. Po bitwie, obaj udawali się do restauracyjnej sali kasyna, gdzie na oczach ciekawej publiczności liczyli zdobycz.

Zdarzało się, że Węgier wygrywał przez wieczór kilkaset tysięcy fr., lecz niekiedy fortuna zdradzała go; naogół jednak Galli był niewygodnym klientem kasyna.

Wreszcie wspomina autor o pewnym dziwaku, który cieszył się w kasynie ogromną popularnością. Był to baron Juliusz Koenigswarter, bajecznie bogaty obywatel bawarski, lecz fenomenalnie skąpy i zabobonny. Aby mu się wiodło w grze, zamawiał na tę intencję nabożeństwa, w kieszeniach zaś zawsze przechowywał liczne talizmany i amulety, które pod stołem potajemnie brał do rąk. Najbardziej obawiał się cudzego uroku i jeżeli spostrzegał zwrócone na siebie czyjeś uważne spojrzenie, natychmiast opuszczał salę gry.

R. M.

Biedni wspierają biednych Akcja Radjowej rodziny chorych

Co piątku, o stałej godzinie płyną ze Lwowa na całą Polskę, niesione falami eteru, słowa powitania: „drodzy chorzy, drodzy radjostuchacze!“ A po chwili do uszu słuchaczy przenika prosta, lecz jakżeż w swej prostocie wzruszająca opowieść o troskach i niedolach szarej rzeszy przez los upośledzonych, złamanych przez życie, dotkniętych chorobą, nieszczęśliwych ludzi, przeplatana słowami otuchy i pociechy. To audycja Apostolstwa chorych, prowadzona przez X. kom. Rękasa.

Warto przysłuchać się tej audycji, choć nie jest się chorym. Ciekawa ona będzie zwłaszcza dla tych, którzy w

twardej walce o byt doszli do przekonania, że „człowiek człowiekowi wilkiem“. Ta niewzruszona — zdawałoby się — pewność zachwieje się nieco, gdy posłyszysz choćby kilka urywków z korespondencji, jaka obficie płynie do „skrzynki dla chorych“.

Uboga wdowa z małej podlowskiej miejscowości dostała z Radjowego Apostolstwa Chorych 20 zł. i tak za to dziekuje: „W dniu, w którym pieniądze dostałam, dzieciak mi zemdlął z głodu, a ja nigdzie pójść nie mogłam, bo tak, jak i dzieci jestem bosa, bez bielizny i płaszcza. Biednych 2 moich dzieci w nieopalanym mieszkaniu głodne siedziało. Jakaże miałam radość, że mogłam kupić furę drzewa. Dałam na mleko 2 złote, by

przynajmniej 2 tygodnie po 1 litrze miały dzieci, kupiłam za 3 zł. kaszy, za 1 zł. ziemniaków i za 1 zł. smalcu. Trzy złote dałam na mieszkanie, a 5 zł. zostałam winna, ale już inaczej na mnie patrzy, bo widzą, że mam poratunek“.

Odczytano te słowa przed mikrofonem i oto za kilka dni poczta przynosi list z drugiego końca Polski od niewidomej staruszki, żyjącej na łasce u synów. Życie ciężko ją doświadczyło, bo — jak zaznacza w liście — nie umie cierpieć i dawnoby ze sobą skończyła, gdyby nie audycje, dla chorych. Podczas ostatniej audycji usłyszała o liście biednej matki z pod Lwowa. W nieszczęśliwej zrodziło się współczucie dla nieszczęśliwej.

W piątek spłakałam się bardzo — pisze — „słuchając listu biednej matki. Bóg zapłać Drogiemu Ojcu, że daje nam wiadomości o nieszczęśliwych. Posyłam dla niej na komorne i proszę bardzo, niech się pomodli dla mnie o cierpliwość, wytrwanie i ulgę w cierpieniu“.

Ci, którym los pozwolił wypłynąć z odmętów smutku i choroby, nie zapominają o chwilach pociechy, jakie im dały w ciężkich dniach piątkowe audycje radjowe, i jak mogą — przyczyniają się do ulżenia doli bliźnich.

„Doniosłość tej misji“ — pisze jedna z radjostuchaczek — „oceniałam w całej pełni dopiero wtedy, kiedy przebywałam parę dni w szpitalu. Po wyzdrowieniu postanowiłam choć odrobinę przyczynić się do rozjaśnienia smutku chorych przez dostarczenie radjodbiornika do szpitala“. I postanowienie swe zrealizowała. Choć nie miała pieniędzy, zebrała na ten cel 120 zł., a resztę przyrzekły ofiarować miejscowe organizacje.

Zjednoczeni dzięki radjowym audycjom dla chorych w jedną wielką rodzinę, zapominają chorzy, bezrobotni, zniedołężniający do życia o własnych swych cierpieniach i spieszą z pomocą nieszczęśliwym bliźnim, podtrzymywani na duchu płynącymi co tygodnia z głośników i słuchawek słowami ks. Rękasa.

Fantastyczne szachy

Ne wszystkim wystarczały powszechnie znane szachy — sześćdziesiąt cztery pól i po ośm figur oraz po ośm pionów z każdej strony.

Tamerlan Wielki — jak mówi kronika — miał zbyt wyniosły umysł, aby zadowolić się zwyczajną grą, więc wprowadził na swym dworze szachownicę o stu dziesięciu polach. Podobno jednak usłyszał, jak ktoś, przypatrując się, mruknął z cicha: „toż to stara gra“.

Szachy należały do obowiązkowego wykształcenia trubadurów prowansalskich i uczyli się oni dwóch systemów — starego perskiego, zwanego Szanprauz, oraz nowego, odpowiadającego naszemu.

Słynny mistrz naszych czasów, Capablanca, propaguje swój wariant „gry królewskiej“ — ze stu polami i dwiema nowymi figurami.

Oto jeszcze parę fantastycznych systemów:

Szachy we czwórce. Są to cztery garnitury figur, każdy innego koloru, naturalnie szachownica również specjalna i większa od normalnie będącej w

użyciu. Po dwóch partnerów gra razem, jak w brydżu. Zwycięstwo polega na zamiatowaniu dwóch królów równocześnie. O ile jeden dostanie matę, jego figury i pionki nie mogą się ruszać, ale czasem „sprzymierzeniec“ wyzwoli go jeszcze z tej opresji.

Szachy wojenne. Obowiązują wszelkie normalne reguły, ale gra się na dwóch szachownicach i nie widzi się figur przeciwnika. Musi być sedzia, który zwraca uwagę, o ile ktoś chce zrobić niemożliwy ciąg czy postawić króla pod szachem.

Szachy demokratyczne. Jest to właściwie walka arystokracji z demokracją. Białe mają tylko króla i pionki, czarne cały garnitur. Na każdy ciąg czarnych białe odpowiadają dwoma i powinny wygrać, co naturalnie jest możliwe tylko przez doprowadzenie piona do ostatniego pola i zrobienie z niego Królowej.

Szachy na wybitkę. Obowiązują zwyczajne reguły, z tym wyjątkiem, że niema szachów ani matę, króla zabija się poprostu. Musi się bić to, co jest do bicia, a wygrywa ten, kto straci pierwszy wszystkie figury i pionki. J. S.